

RELACJA  
**Jadwigi Chabowskiej**

nagrana 3.06.93 w Londynie przez Tomasza Gleba  
 [wersja zredagowana]

[Jadwiga Chabowska z domu Sokolewicz, ur. 6.09.1905 w Warszawie, imiona rodziców Wacław, Leokadia]

Jadwiga Chabowska: Mąż [Zygmunt Chabowski] był w wojsku i tam był dowódcą oddziału, broni pancernej. Jak wybuchła wojna, to Niemcy usiłowali zbombardować nasze koszary. Całe szczęście, że lotnicy byli zdaje się bardzo młodzi, bo nie trafiali. Mąż zdecydował, że lepiej będzie, jak odeśle nas (była akurat u mnie matka) w bezpieczne miejsce, bo wojna miała nie trwać przecież tak długo. Przeczekamy i wrócimy spokojnie do domu.

I wysłał nas do **Worochty**. Tam przebyłam prawie rok. Potem ogłoszono, że ci, którzy pochodzą ze strony niemieckiej, mogą wrócić do swoich miast, żeby zgłosić się we Lwowie do specjalnej komisji niemieckiej. Naturalnie czem prędzej z matką pojechałyśmy. Dali nam odpowiednie numerki i kazali czekać na transport. Na transport się nie doczekaliśmy, ale gestapo niemieckie oddało listy tych, którzy się zgłosili na transporty – rosyjskiemu NKWD.

Pewnej pięknej nocy przyszło NKWD, kazało się zapakować i wywieźli do Rosji. Jechaliśmy bardzo długo, bo około tygodnia. Nie wiem dlaczego, ale jeździło się wzdłuż polskiej granicy. A potem już na północ. Tylko jaka to była *oblast*, to ja dokładnie nie pamiętam. **Posiołek Stieklanka**.

**Pyt:** A jakieś większe miasto w okolicy mijaliście?

J.Ch.: Nie pamiętam. Musiało być jakieś miasto, bo przyjeżdżał raz na miesiąc okręgowy enkawudzista, ale skąd? Człowiek był tak zapracowany, że te rzeczy były zupełnie obojętne.

Dali dwa tygodnie odpoczynku i karmili darmo. Po dwóch tygodniach przyjechał właśnie okręgowy enkawudzista Jakuszew i powiedział nam, że jesteśmy przysłani na wieczne przesiedlenie, ale jak będziemy się sprawować dobrze i zbudujemy miasto, to w nagrodę zawiozą nas do bolszewickiego Londynu. No i pojechał.

**Pyt:** Dużo osób znalazło się z transportu w tym posiołku?

J.Ch.: Blisko 400 osób, ale nas chrześcijan było tylko czterdzieści parę osób, reszta to Żydzi wszystkich szczebli społecznych, od żydowskich złodziei – dosłownie – i pańienek wesołego sposobu życia do bardzo bogatych Żydów. Jeden z tych Żydów dostał dwa pokoje, trzymał służącą i w ogóle miał aksamitne życie. A reszta musiała pracować. Ja miałam trochę szczęścia, bo najsampierw przysłali takiego – to nie był *wracz* – zdaje się enkawudzistę, chodził w bardzo czarnych okularach i miał bardzo bez wyrazu twarz. Już wtedy skarżyłam się na nogi i on mnie zwolnił od chodzenia do lasu, miałam chodzić do pracy na posiołku. Miałam zaopatrywać urzędowe punkty posiołka w drzewo opałowe, dziennie jakieś 11 kubików. Trzeba było popiłować i porąbać. No i to robiłam. Jednego dnia musiałam robić z naddatkiem, dlatego, że jeden dzień w tygodniu musiałam poświęcić na pójście do lasu, wybranie tak zwanych suszek – naciąć ich, przepiłować na czterometrówki i poznać mniej więcej, gdzie to jest. A potem miałam swojego tak zwanego koniucha, który jechał do lasu i powoli te drzewa mi zwoził na każdy punkt, gdzie miałam piłować.

**Pyt:** Czy pamięta Pani jakieś inne rodziny, które też się w tym posiołku znalazły?

J.Ch.: Nie wszystkie. Pamiętam rodzinę **Waluszewskich, Maleczków**. Tam trzy osoby zwariowały, a parę z głodu umarło po prostu.

**Pyt:** Pamięta Pani może osoby, które zmarły?

J.Ch.: Zmarła matka, właściwie babka pani Waluszewskiej, najstarsza, nazywała się pani Mokrzycka, zmarło dwóch bardzo młodych Żydów, świetnych śpiewaków z Wiednia. Oni uciekli z Wiednia przed Niemcami. Nie znam ich nazwisk. Wtedy byłam tak zajęta swoją pracą, która jednak trochę była nad siły, tym więcej, że musiałam przecież matkę utrzymać, że w ogóle nie interesowałam się posiłkiem jako takim. Nie miałam na to czasu. W zimę to te drzewo wszędzie rąbałam, w lecie jak została tylko łaźnia i piekarnia i trochę drzewa do gotowania, to znów nosiłam chleb z piekarni do sklepiku. Nigdy nie miałam czasu.

A w lesie odbywał się wyrąb. Oni tam rąbali drzewo, układali w kubiki — a ponieważ to była tajga, błoto, więc te kubiki wolno, wolno się zagłębiały w błoto i nikły. Tam się zmarnowało masę drzewa.

I tak się żyło do amnestii.

Jedno było tylko niewygodne — że nigdy nie wypłacali nam pełnych zarobków. Zawsze awansem, awansem, i w rezultacie zostali mi winni 980 rubli. Ale muszę zaznaczyć, że komendant obozu powiedział, że nie zaprzecza, że oni są winni i jeżeli ja chcę pieniądze otrzymać, to żeby nie wyjeżdżać z ogólnym transportem, tylko zostać i poczekać na buchaltera. No to ja wolałam im darować i wyjechać.

I znów awantury, bo nie chcieli nas (była nas grupa) darmo wywieźć stamtąd. A myśmy dowodzili, że jeżeli nas darmo przywieźli, to powinni i darmo dalej wieźć.

Dowieźli nas saniami, ciągnionymi przez traktory, do stacji — ale jak ta stacja się nazywała, nie pamiętam. Tam z 5 dni siedzieliśmy przed stacją na placu, kłócąc się o darmowe bilety. Wreszcie jechał ewakuowany pociąg spod Moskwy, bo już Niemcy podchodzili pod Moskwę, załadowaliśmy się tam.

Żydzi wybrali Samarkandę, a my Polacy — Taszkient. Ale w **Taszkencie** nie chcieli nas wpuścić, bo już był przepełniony uchodźcami rosyjskimi, więc pojechaliśmy dalej na wschód, do **Kokandu**. Tam było bardzo ciężko, też dużo uchodźców rosyjskich, pracyznać nie można było, a pieniądze się skończyły. Spało się trochę pod drzewem, a jadło z kuchni, którą mieli dla uchodźców rosyjskich. Raz na dzień można było dostać tam zupę. Próbowałam przenieść się gdzie indziej, ale nigdzie się nie udało. Potem w tym Kokandzie nawet nie było najgorzej — myśmy z matką spały sobie pod drzewem, nawet wygodnie się urządziłyśmy, ale przechodziły dwie Rosjanki i powiedziały, że one mają chałupkę i w tej chałupce jest pusta izba, jak my chcemy, to nam oddadzą darmo. Kto by nie chciał — to się przenieśliśmy tam.

Potem NKWD zaczęło jeździć i zbierać polskich uchodźców, rzekomo do obozów, które były po zarządzie polskim. No więc zabrali. Zawieźli do **Dżałalabadu**, stamtąd rozwieźli po kolchozach. Ja się dostałam do kolchozu uzbeckiego za Dżałalabadem, jeszcze dalej na południe. Ten kolchoz i miasteczko przy kolchozie nazywało się **Bazar Kurgan**.

Tam nie było dobrze. W kolchozach był zwyczaj, że wypłata była we wrześniu, a myśmy przyjechały w grudniu, więc dostałyśmy — matka jako niepracująca pół tak zwanej lepieszki (to taki placek wielkości deserowego talerzyka), a ja jako pracująca dostałam jedną i pół. No i pracowałam wycinając krzaki bawełny. Jak mieszkaliśmy w Kokandzie, to posprzedawałam sukienki, ubranie, obuwie, które przywiozłam z Polski, i za to pokupowałam trochę prowiantów. Dopóki trwały prowianty, to jeszcze nie było najgorzej — ale potem się skończyły. Ale szczęśliwie się złożyło, akurat wtedy w Dżałalabadzie zbierali Polaków z kolchozów i nas przygarnęła V dywizja saperów. No a stamtąd do Persji.

W Persji, w **Teheranie** byłam przeszło rok, a potem normalną drogą przez Irak, Syrię — do **Palestyny**. Już w Teheranie nawiązałam kontakt z mężem, już trochę



pieniędzy miałam, w Palestynie już mi płacili Anglicy jako żonie oficera – a potem z Palestyny do Egiptu i z Egiptu do Anglii.

W Anglii znalazłam się we wrześniu 1950 roku. W Egipcie zeszło mi więcej czasu, bo pogubili moje dokumenty, więc musiałam wyrabiać na nowo. A poza tym kłóciłam się z Anglikami – nie chcieli uznać mojej matki za rodzinę, bo nie była matką męża, tylko moją. Musiałam się wyklócać z nimi. Mama cały czas ze mną była, przyjechała do Anglii, zmarła w 1961 roku.

Pyt: Pani mąż gdzie się znajdował w czasie wojny?

J.Ch.: Mąż miał trochę przyjemniejsze życie, bo przeszedł na Węgry, potem konsulat w Budapeszcie pomógł mu wygodnie przejechać do Francji, a potem do Anglii. Potem na Środkowy Wschód przyjechał do mnie, to był koniec 1943 roku, a potem pojechał znów na front do Włoch. I taka cała historia.

Pyt: Czy był moment, kiedy Państwo podjęliście decyzję zostania na Zachodzie, nieprzyjeżdżania do Polski?

J.Ch.: Tak, ale to była decyzja tego rodzaju, że „chwilowo zostajemy na Zachodzie, dopóki się nie unormują stosunki w Polsce”. Ja potem w 1962 roku (nie mogłam wcześniej wyjechać, nie mogłam zostawić matki) pojechałam do Polski przekonać się, jak tam jest. No i dowiedziałam się, że nie możemy wracać dlatego, że męża wsadziliby do więzienia. No to się zostało.

Pyt: Pani mąż miał założoną sprawę w Polsce?

J.Ch.: Nie, w Polsce po pierwsze miał trochę zatargów z władzami, po drugie, gdy mąż był przez jakiś czas komendantem podchorążówki broni pancernej, usunął, jak okazało później, jakiegoś ucznia, który został bardzo wpływowym komunistą.

Pyt: A te zatargi na czym polegały?

J.Ch.: Nie wiem.

Pyt: Była w każdym razie pewność, że się dostanie do więzienia?

J.Ch.: Tak, tak, to była stuprocentowa pewność.

Pyt: Czyli była brana pod uwagę możliwość przyjazdu...

J.Ch.: Była brana pod uwagę, ale okazało się, że jest niemożliwe.

Pyt: A gdyby okazało się, że Pani mąż nie znalazłby się w więzieniu po powrocie, to przyjechalibyście?

J.Ch.: Bo ja wiem, dzisiaj to już trudno powiedzieć... Po pierwsze nic z tego, co myśmy mieli, już nie było. Musiałoby się zacząć od samego początku. Nie wiem, czy byśmy dali radę jako rozpieszczeni kapitaliści... (śmiech).

Pyt: A czy była osoba, która zdecydowanie chciała jechać do Polski?

J.Ch.: Mąż. On był, jak to nazywałam, chory na Polskę. I do końca nie został obywatelem angielskim.

Pyt: Czego najbardziej mężowi brakowało?

J.Ch.: Wszystkiego, nawet polskiego powietrza. Bo wszystko w Polsce było lepsze: słońce inaczej świeciło, deszcz inaczej padał... Brakowało mu po prostu Polski.

Pyt: Ta Polska już była inna.

J.Ch.: On by nie przeżył tam długo.

Pyt: A Pani bez problemów się tutaj zadomowiła?

J.Ch.: O, do tej pory są problemy. Ja w ogóle czuję się jak Twardowski – między Księżycem a Ziemią. Tu nie wrosłam jednak w teren, a muszę przyznać, że jak trzy razy byłam w Polsce, to trochę obco się czułam. Zupełnie inni ludzie, inny język nawet. Nie byłam przyzwyczajona co drugie słowo słyszeć pewne wyrażenia. Więc – ani tu, ani tu.

Pyt: Na czym polegała ta zmiana w ludziach? Byli bardziej wulgarni...

J.Ch.: Bardzo. Poza tym jest bardzo dużo nowych słów, które nie zawsze odpowia-

dają treści. Na przykład „adapter” – na całym świecie „adapter” ma inne znaczenie, niż w Polsce. Takich słów sporo wyłowiałam. Różnice w zachowaniu się – brak uprzejmości. Przecież pójść w Polsce do sklepu to była przykrość.

Nie bardzo przyjemne wrażenie zrobiła na mnie Polska.

Pyt: A czy było coś w Anglii, co Pani przeszkadzało?

J.Ch.: Nie, chyba na początku dokuczliwego tak nic nie było. Anglia była po pierwsze zupełnie inna niż jest dzisiaj. Było dużo przyjemniej. Nie było żadnych przykrości na ulicach, można było po nocy chodzić samej zupełnie bezpiecznie. Jak się wsiadało z paczkami do autobusu, to konduktor pomagał wejść.

Pyt: Pani nie chciała wracać do Polski?

J.Ch.: Właściwie już później nie. Tym więcej, jak zaczęło mi ubywać w dość szybkim tempie członków rodziny w Polsce.

[do rozmowy dołącza p. Aleksandra Białkowska]

A.B.: Oni w dziwny bardzo sposób szanowali nas jako bardziej kulturalnych. Szedł enkawudzista i budził kopnięciami. Wstałam i powiedziałam mu wolno i bardzo spokojnie:

– Mnie nikt nie dotknął i ty też mnie nie dotkniesz. Ja wiem, że ja pójdę do kryminału i zdechnę, ale jak ty mnie dotkniesz, to ja za siebie nie odpowiadam.

Wszystkich kopał, mnie nie dotknął. Nie dotknął. Szanowali, jak ktoś im stanowczo...

Pyt: Czy ludzie w Rosji są źli?

J.Ch.: Kiedy ja tam byłam, przeciętny Rosjanin był bardzo miłym człowiekiem, uczynnym, chętnie pomagał, chętnie się dzielił. Okropne było NKWD i obozy pracy straszne. Były miejscowości, skąd ludzie w ogóle nie wracali.

Pyt: Czy Pani słyszała o zatopieniu barek z Polakami bądź innymi ludźmi na Morzu Białym?

J.Ch.: Tam podobno zatopili parę okrętów, tak, słyszałam.

Pyt: Tam były takie pogłoski?

J.Ch.: Tak. Mój ojciec był w **Starobielsku**, szukałam ojca i ktoś urzędowy, już nie pamiętam kto, powiedział mi, że możliwe, że znajdował się w takim transporcie, że okręty wjechały na jakieś tam skały, przedziurawiły się i potopili się.

Pyt: Ten ktoś wymienił nazwę okrętu?

J.Ch.: Tak.

Pyt: I to miało nastąpić na **Morzu Białym**?

J.Ch.: Na Morzu Białym.

A.B.: Jak wstąpiłam do wojska, przyszedł telegram z **Wysp [Ziemi] Franciszka Józefa** na Północy, podpisany przez **sędziego Skulskiego** ze Lwowa, który był podwładnym mego ojca. To jeszcze w lutym musiało być. Ja pracowałam u Czapskiego w personalnym i oni mi pokazali ten telegram podpisany przez Skulskiego. Telegram brzmiał: „Ratujcie, jest nas tyle a tyle, ratujcie, pięć przed dwunastą. Skulski”.

Pyt: Jaka była liczba tych ludzi? Pamięta Pani?

A.B.: A skąd.

Pyt: Czy to była duża liczba?

A.B.: Duża.

Anders wtedy powiada:

– To w takim razie **Józiu Czapski** i ktoś pojedzie ratować tych ludzi.

I ja się zgłosiłam na ochotnika. Powiedziałam, że znam tego sędziego i on mnie zna. I Czapski ze mną miał jechać na te wyspy. Jeszcze mi tłumaczyli, że bym nie jechała...



Tam była jakaś dwójka – 2 tysiące albo 20 tysięcy? Już nie będę bujać.

Wysłało się telegram, że jedziemy, przyjeżdżamy do tego *predsiedatiela* NKWD, który wysłał ten telegram. Bo to było po umowie angielskiej. I dostaliśmy telegram z powrotem, że „nikogo nie ma, nie przyjeżdżać”, i ktoś inny podpisany. Już nie Skulski i inny *predsiedatiel* NKWD. Więc ten *predsiedatiel*, który podpisał [poprzedni telegram], który pozwolił na wysłanie [poprzedniego telegramu], już został usunięty. Już był inny i „nikogo nie ma, nie przyjeżdżać”.

Pyt: Pamięta Pani, kiedy to miało miejsce?

A.B.: W lutym 1942 r. Ale ten telegram musi gdzieś być, musi być. Musi się gdzieś znaleźć, chyba w Instytucie Sikorskiego.

A o barkach zatopionych opowie Panu **Czesia Chrzastowska**. Ona była właśnie w Norylsku.

Pyt: Jak podsumowałaby Pani okres zsyłki?

J.Ch.: Jako świetną szkołę życiową.

Pyt: Pozytywne doświadczenie?

J.Ch.: Jak się patrzy w przeszłość, to tak. Nauczyłam się, co to jest nędza, co to ludzka dobroć. Masę rzeczy się nauczyłam, z którymi bym się nigdy nie zetknęła, gdyby nie było wojny, bo wszystko to uważałabym za rzeczy zupełnie normalne.

Pyt: Czy było coś, co w Pani się załamało pod wpływem tego doświadczenia?

J.Ch.: Chyba nie. Był tylko okres, ale dość krótki, kiedy straciłam wiarę. Bo powiedziałam sobie, że przecież ja żadnej zbrodni nie popełniłam, żeby mnie Pan Bóg tak karał. Ale potem doszłam do przekonania, jak patrzyłam wstecz, że to było dobre dla mnie, to nie była kara, przez cały ten czas [Bóg] się mną jednak opiekował.

Byłam bardzo dziecinnie naiwna wtedy. Stawiałam wtedy kabałę i pani komendantowa poprosiła mnie, żeby jej postawić. Poszłam, postawiłam. A pan komendant akurat miał dużo spraw i często był w miasteczku. Mnie z kart wyszło, że on nie jeździ w interesach, a ma tam dziewczynkę. I ja, idiotka, naturalnie pani komendantowej to powiedziałam. Może pan sobie wyobrazić, co się działo na komendanturze, jak komendant wrócił? (śmiech). A ja nie wiedziałam, że w Rosji pod karą więzienia nie wolno stawiać kart. Dlatego, że to jest przesąd. Pan komendant wpadł tam do nas i zwymyślał mnie rzetelnie, ale tylko mi karty zabrał i kazał podpisać zobowiązanie, że więcej nie będę stawiała kabały. A do więzienia nie pojechałam.

Dużo miałam takich... Nawracałam okręgowego enkawudzistę – i też się skończyło bardzo dobrze. To było tak – z brzozy urwałam taki grzyb, w paski, bardzo ładny, kolorowy, i zrobiłam obrazek Matki Boskiej. Przyjechał na inspekcję enkawudzista i przyszedł do nas. Popatrzył na to i mówi, że dziwi się, że inteligentna osoba wierzy w takie głupstwa. No to ja się oburzyłam i powiedziałam, że to nie jest głupstwo, bo Pan Bóg istnieje itd. On odpowiadał mi, że nie, a ja mówiłam, że tak i dawałam dowody, no i tak gawędziliśmy z sobą. Ale jak wychodził, to go spytałam, czy on naprawdę sądzi, że nie ma Pana Boga – a on odwrócił głowę i powiedział:

– *Szto ja dumaju, eto maju dielo.*

I poszedł. Bez żadnych konsekwencji, nic. A przecież za taką rzecz, za nawracanie w tamtych czasach?... – to były przecież najostrzejsze stalinowskie czasy.

Jak nawymyślałam panu komendantowi. Bo żeby wezwać tak zwanego *wraca*, trzeba było zezwolenia od pana komendanta. Matka mi zachorowała. Idę do komendanta, proszę o zezwolenie. Komendant na mnie popatrzył i pyta:

– Ile lat ma twoja matka?

Mówię, że jakieś 59–60. A on do mnie:

– *Wot, starucha, pust padochnie.*

Jak on powiedział to „*padochnie*”, to ja mu całą koroneczkę rosyjskich przekleństw

wyłożyłam. A nauczyłam się tego, bo przez ścianę z nami mieszkali koniuchowie, ich język był bardzo kwiecisty, a u nas było to słychać. On zgłupiał, wziął kartkę, podpisał i wypchnął mnie za drzwi. I znów nic.

Pierwszy i ostatni raz w życiu taką koroneczką przemówiłam. A oni są bardzo pomysłowi w przekleństwach. Choć z drugiej strony rosyjska natura jest dziwna. Przecież ci koniuchowie to byli mordercy, którzy już odbyli karę na dalekiej północy, jeszcze dalej, za kręgiem. Przyjeżdżali do nas na posiołek i już pracowali za zarobki. Jak zarobili tyle, że mogli wracać do miejsca zamieszkania, to sobie wyjeżdżali. Często wracali, bo po drodze przepijali te pieniądze. I oni mieli izbę przez ścianę z nami. Jak oni spędzali wieczory? Jeden z nich opowiadał bajki o królewnie zaklętej w żabę, o czarownicy... Dziecinne, proste bajki. Panowała zupełna cisza, jakby przestawali oddychać. Dopiero jak na przykład czarownica zrobiła krzywdę sierotce, to wtedy padało soczyste przekleństwo.

Oni zabawni byli. I mieli dobre serce. Gdy na przykład dostawali raz na miesiąc kawałek cukru jak pudełko zapalek, to dwóch z nich przynosiło mi ten cukier i mówiło, że ten cukier jest dla staruchy, a jak ja go zjem, to dostanę w zęby. Takie było czułe powiedzenie przy darowiźnie cukru. A pozbawiali się cukru na cały miesiąc.

A.B.: U nas był głód, cała rodzina rosyjska obok wymarła z głodu, ale oni mieli psa. Pies był na bardzo długim łańcuchu i żywność podawali mu na patyku, bo to był bardzo zły pies. A to było obok naszej chałupki. I była taka gadka, że ten pies się zrywa z łańcucha, jak ma przyjsć głód.

Byłam chora przez 6 tygodni na tropikalną malarię, 42 stopnie gorączki. Myśmy dostawali 200 gramów chleba na dzień, matka nie pracowała, więc nas troje utrzymywało matkę, ale z chwilą, jak ja przestałam pracować, to tych dwoje pracowało na nas dwoje. I siostra przyszła po pracy głodna i słyszałam, jak powiedziała, że ona nie ma siły pracować i na mamę i na mnie. I ja uznałam, że ona ma zupełną rację i że ja muszę ze sobą skończyć po prostu. I w tej gorączce myślę, jak z sobą skończyć. I przypomniało mi się, że najłatwiej jest zamarznąć.

Cała wieś była zasypana śniegiem i *chaziajki* pilnowały, by w momencie przed uspokojeniem się buranu odsypać wyjście z chałupy. Bo potem chwytął mróz 60 stopni i już nikt nie tego. I ta *chaziajka* odkopywała też bardzo malutki kawałek studni, żeby dostać się do studni. Reszta to była góra śniegu.

Przypomniałam sobie, że jest ten stos śniegu u studni. Miałam batystową koszulkę nocną, cichusieńko wyszłam przez salę, na bosaka i w tej koszuleczce stanęłam w sześćdziesięciostopniowym mrozie. Stoję i czekam, żeby zamarznąć. I w pewnym momencie słyszę łańcuch po tym zamarznętym śniegu. I przypominam sobie o tym psie, przypominam sobie, że on się zrywa, jak będzie głód, i już jest głód, „acha, to on się zerwał”. I straszny mnie strach przed tym psem... A potem sobie mówię: „nie bądź głupia, przecież masz umrzeć, wszystko jedno, czy zamarzniesz, czy pies udusi”.

Pies przyszedł, powąchał mnie i odszedł. Ta muzyka tego łańcucha odchodzącego psa... Straciłam przytomność. Nie wiem, jak to długo trwało. Rosjanka przyniosła mnie na rękach spod tej studni, położyła na przypiecku i powiedziała tylko dwa słowa:

– *Szura, nie lzia.*

Ani matka, ani siostra, ani nikt nie wiedział, tylko *chaziajka* i ja. Na drugi dzień przyszedł list zapowiadający paczkę z organizacji na moje imię – mogłam dać mój wkład żywności. [...]

My, drużyna dzieci, miała zrobić sto samanów dziennie, a myśmy robili 100 samanów na tydzień. Powiedzieli nam, że tak długo będziecie pracować, aż wam krew

z nosa pójdzie. Wtedy poszłam i za durne 30 kopiejek kupiłam konstytucję. Nie umiałam czytać po rosyjsku, ale pamiętałam, jak tatuś mówił — bo myśmy tatusia straszili, że nas wywiozą, a on strasznie bolał, że będziemy cierpieć za niego — mówił, że nie ma państwa, które by nie miało prawa, którym jest konstytucja, piękna konstytucja i 13 — ty punkt konstytucji mówi, że wszystkie dzieci w wieku szkolnym mają prawo do bezpłatnej nauki. I ja zapamiętałam: 13 — ty punkt i bezpłatna nauka. Wzięłam konstytucję, na trzynastce trzymałam palec i idę do NKWD. *Chazajka* mówi:

— Szura, do NKWD nie idzie się, nie idź dobrowolnie.

A ja poszłam. Stałam w korytarzu, ciemno jak oko wykol i stoję. I wszyscy do mnie przychodzą i pytają się:

— *Za czom ty? Szto ty chcesz?*

A ja nic, tylko „*Priedsiedatiel*”, i z nikim nie mówię. Od godziny wczesnej ranka do piątej po południu stałam pod ścianą, trzymałam tę konstytucję. W końcu otworzyły się drzwi, jasność taka od tych otwartych drzwi, wyszedł ktoś, okazuje się, że to był właśnie ten *priedsiedatiel*.

— *Tam taka dieuszka stoit.*

— *A szto ona?*

— *No nie znaju*, ona nic nie chciała powiedzieć.

A ja cały czas myślę: jak ja mam do niego powiedzieć? *Grażdanin* — nie, Pan — nie, ty — byłam za dobrze wychowana, żeby do starszego pana tak powiedzieć. *Towariszcz* — powie „ale ty nie jesteś w partii”. W końcu mówię:

— *Znajetie konstytucju?*

— *Kanieszno, znaju.*

— *A znajetie 13 — ty punkt konstytucji?*

— *Kanieszno.*

To ja mu pod nos podsuwam ten 13 — ty punkt, a on:

— Nic nie widać. *Wot i szto?*

Wtedy ja:

— *No ja w szkołu chocz.*

I nie tylko siebie, ale i siostrę do szkoły ściągnęłam. A w szkole już pajka chleba. Załatwiłam sprawę.

\* \* \*

[koniec]



## RELACJA

Aleksandry Białkowskiej

nagrana 3.06.93 w Londynie przez Tomasza Gleba

[podczas nagrania relacji Janiny Chabowskiej, patrz zbiory AW; autorka nie wyraziła zgody na złożenie pełnej relacji]

A.B.: Oni w dziwny bardzo sposób szanowali nas jako bardziej kulturalnych. Szedł enkawudzista i budził kopnięciami. Wstałam i powiedziałam mu wolno i bardzo spokojnie:

– Mnie nikt nie dotknął i ty też mnie nie dotkniesz. Ja wiem, że ja pójdę do kryminału i zdechnę, ale jak ty mnie dotkniesz, to ja za siebie nie odpowiadam.

Wszystkich kopał, mnie nie dotknął. Nie dotknął. Szanowali, jak ktoś im stanowczo...

[...]

A.B.: Jak wstąpiłam do wojska, przyszedł telegram z Wysp [Ziemi] Franciszka Józefa na Północy, podpisany przez sędziego Skulskiego ze Lwowa, który był podwładnym mego ojca. To jeszcze w lutym musiało być. Ja pracowałam u Czapskiego w personalnym i oni mi pokazali ten telegram podpisany przez Skulskiego. Telegram brzmiał: „Ratujcie, jest nas tyle a tyle, ratujcie, pięć przed dwunastą. Skulski”.

Pyt: Jaka była liczba tych ludzi? Pamięta Pani?

A.B.: A skąd.

Pyt: Czy to była duża liczba?

A.B.: Duża.

Anders wtedy powiada:

– To w takim razie Józiu Czapski i ktoś pojedzie ratować tych ludzi.

I ja się zgłosiłam na ochotnika. Powiedziałam, że znam tego sędziego i on mnie zna. I Czapski ze mną miał jechać na te wyspy. Jeszcze mi tłumaczyli, żebym nie jechała...

Tam była jakaś dwójka – 2 tysiące albo 20 tysięcy? Już nie będę bujać.

Wysłało się telegram, że jedziemy, przyjeżdżamy do tego *predsiedatiela* NKWD, który wysłał ten telegram. Bo to było po umowie angielskiej. I dostaliśmy telegram z powrotem, że „nikogo nie ma, nie przyjeżdżać”, i ktoś inny podpisany. Już nie Skulski i inny *predsiedatiel* NKWD. Więc ten *predsiedatiel*, który podpisał [poprzedni telegram], który pozwolił na wysłanie [poprzedniego telegramu], już został usunięty. Już był inny i „nikogo nie ma, nie przyjeżdżać”.

Pyt: Pamięta Pani, kiedy to miało miejsce?

A.B.: W lutym 1942 r. Ale ten telegram musi gdzieś być, musi być. Musi się gdzieś znaleźć, chyba w Instytucie Sikorskiego.

A o barkach zatopionych opowie Panu Czesia Chrząstowska. Ona była właśnie w Norylsku.

[...]

A.B.: U nas był głód, cała rodzina rosyjska obok wymarła z głodu, ale oni mieli psa. Pies był na bardzo długim łańcuchu i żywność podawali mu na patyku, bo to był bardzo zły pies. A to było obok naszej chałupki. I była taka gadka, że ten pies się zrywa z łańcucha, jak ma przyjść głód.

Byłam chora przez 6 tygodni na tropikalną malarię, 42 stopnie gorączki. Myśmy dostawali 200 gramów chleba na dzień, matka nie pracowała, więc nas troje utrzymywało matkę, ale z chwilą, jak ja przestałam pracować, to tych dwoje pracowało na nas dwoje. I siostra przyszła po pracy głodna i słyszałam, jak



powiedziała, że ona nie ma siły pracować i na mamę i na mnie. I ja uznałam, że ona ma zupełną rację i że ja muszę ze sobą skończyć po prostu. I w tej gorączce myślę, jak z sobą skończyć. I przypomniało mi się, że najłatwiej jest zamarznąć.

Cała wieś była zasypana śniegiem i *chaziajki* pilnowały, by w momencie przed uspokojeniem się buranu odsypać wyjście z chałupy. Bo potem chwytał mróz 60 stopni i już nikt nie tego. I ta *chaziajka* odkopywała też bardzo małe kawałki studni, żeby dostać się do studni. Reszta to była góra śniegu.

Przypomniałam sobie, że jest ten stos śniegu u studni. Miałam batystową koszulkę nocną, cichusieńko wyszłam przez salę, na bosaka i w tej koszuleczce stanęłam w sześćdziesięciostopniowym mrozie. Stoję i czekam, żeby zamarznąć. I w pewnym momencie słyszę łańcuch po tym zamarznętym śniegu. I przypominam sobie o tym psie, przypominam sobie, że on się zrywa, jak będzie głód, i już jest głód, „acha, to on się zerwał”. I straszny mnie strach przed tym psem... A potem sobie mówię: „nie bądź głupia, przecież masz umrzeć, wszystko jedno, czy zamarzniesz, czy pies udusi”.

Pies przyszedł, powąchał mnie i odszedł. Ta muzyka tego łańcucha odchodzącego psa... Straciłam przytomność. Nie wiem, jak to długo trwało. Rosjanka przyniosła mnie na rękach spod tej studni, położyła na przypiecku i powiedziała tylko dwa słowa:

– *Szura, nie lzia.*

Ani matka, ani siostra, ani nikt nie wiedział, tylko *chaziajka* i ja. Na drugi dzień przyszedł list zapowiadający paczkę z organizacji na moje imię – mogłam dać mój wkład żywności. [...]

My, drużyna dzieci, miała zrobić sto samanów dziennie, a myśmy robili 100 samanów na tydzień. Powiedzieli nam, że tak długo będziecie pracować, aż wam krew z nosa pójdzie. Wtedy poszłam i za durne 30 kopiejek kupiłam konstytucję. Nie umiałam czytać po rosyjsku, ale pamiętałam, jak tatuś mówił – bo myśmy tatusia straszili, że nas wywiozą, a on strasznie bolał, że będziemy cierpieć za niego – mówił, że nie ma państwa, które by nie miało prawa, którym jest konstytucja, piękna konstytucja i 13 – ty punkt konstytucji mówi, że wszystkie dzieci w wieku szkolnym mają prawo do bezpłatnej nauki. I ja zapamiętałam: 13 – ty punkt i bezpłatna nauka. Wzięłam konstytucję, na trzynastce trzymałam palec i idę do NKWD. *Chaziajka* mówi:

– *Szura, do NKWD nie idzie się, nie idź dobrowolnie.*

A ja poszłam. Stanęłam w korytarzu, ciemno jak oko wykol i stoję. I wszyscy do mnie przychodzą i pytają się:

– *Za czom ty? Szto ty chcesz?*

A ja nic, tylko „*Priedsiedatiel*”, i z nikim nie mówię. Od godziny wczesnej ranka do piątej po południu stałam pod ścianą, trzymałam tę konstytucję. W końcu otworzyły się drzwi, jasność taka od tych otwartych drzwi, wyszedł ktoś, okazuje się, że to był właśnie ten *priedsiedatiel*.

– *Tam taka dieuszka stoit.*

– *A szto ona?*

– *No nie znaju, ona nic nie chciała powiedzieć.*

A ja cały czas myślę: jak ja mam do niego powiedzieć? *Grażdanin* – nie, Pan – nie, ty – byłam za dobrze wychowana, żeby do starszego pana tak powiedzieć. *Towariszcz* – powie „ale ty nie jesteś w partii”. W końcu mówię:

– *Znajetie konstytucju?*

– *Kanieszno, znaju.*

– *A znajetie 13 – ty punkt konstytucji?*

– *Kanieszno.*

---

To ja mu pod nos podsuwam ten 13 – ty punkt, a on:

– Nic nie widać. *Wot i szto?*

Wtedy ja:

– *No ja w szkołu chocz.*

I nie tylko siebie, ale i siostrę do szkoły ściągnęłam. A w szkole już pajka chleba. Załatwiłam sprawę.

\* \* \*

[koniec]